

Wyszarpnęłam

z gabloty moje
Złote Wrota,
owinęłam w gazetę
i wyniosłam

Barbara Krafftówna,
Warszawa, czerwiec 1970 r.

Na następnej stronie:
Podczas jubileuszu 60-lecia
pracy wystąpiła w monodramie
„Błękitny diabeł”



Pokój z widokiem na **Hollywood**

Z **Barbarą Krafftówną**
rozmawia **Dariusz Zaborek**

Pan palący?

Nie, zaczynałem w podstawówce, a po maturze rzuciłem.

To rzadki przypadek, bo jak wcześniej się zaczyna, to na ogół człowiek się wciąga. Przed wojną były tak cudownie pachnące tytonie, że moim marzeniem było zacząć palić. Ale dzisiaj już nie mogę.

Ile miała Pani lat, gdy marzenie się spełniło?

18, w Gdyni, ale ukradkiem. Były to opiumowane pall malle. 1946 rok, okres euforii, wyzwolenie Polski, noce już spokojne. Nędza, prawie głód, ale to nieważne. Po wojnie Wybrzeże było oknem na świat, rano prom ze Szwecji przyplýwał, wieczorem odpływał. Przyplýwały wszystkie dobra i papierosy, bo u nas prawie produkcje nie ruszyły - były zwijane w papierki i jakieś ohydne liście.

Ale ja i tak byłam ładacznicą z zasadami. Nie paliłam na czczo, za to paliłam do zamknięcia powiek. Opanowałam specjalną technikę trzymania papierosa w łóżku, żeby nie zasnąć i się nie spalić. Normalnie trzyma się go między palcami wskazującym i środkowym, a ja wkładałam między środkowy a serdeczny. Wtedy nigdy nie wypadnie. Sparzy, bo się tli, i obu-



dzi. Na ogół nie zasypiałam, a do końca wypalałam, prawie pety jadłam.

Kilkadzieśiat sztuk dziennie swoje zrobiło?

Kara za łajdactwa zawsze dopadnie. W tej chwili walczę z niemocami, bo skończyło się rozedmą płuc.

Tam, gdzie jestem, w Stanach, naprawdę się nie pali, palacze nie udrezczają, ich nie widać, nie czuć, naród jest nadzwyczajnie czysty, bardzo higieniczne jest amerykańskie życie.

A Pani życie - gdzie zaczęło się w 1928 roku?

Podjejrzałam, że w łonie matki. (śmiech)

W Warszawie, dom pod tytułem klinika Omega w Alejach Jerozolimskich. Przyszłam na świat jako wcześniak siedmiomiesięczny, chowany w wacie i termoforach, bo inkubatorów nie znano.

Ojciec jako architekt krążył między Warszawą a Wołyniem. Wojna zaskoczyła nas w Łucku, gdzie był naczelnym architektem, w czasie okupacji zmarł i tam jest pochowany. Po śmierci ojca wróciliśmy z matką do Warszawy.

„Życie z ojcem było bajkowe” - Pani słowa.

Tłumaczył mi, że świat jest piękny, pełen aniołów i dobrych duchów,

które zawsze pomogą. Matka pięknie grała na skrzypcach, a w grze na pianinie miała tzw. męskie uderzenie. Wymagali, żebym ładnie mówiła, ważna była modulacja głosu. Na pytania miałam wyraźnie odpowiadać słowem lub zdaniem, a nie mruknięciem.

„Mama patrzeniem zwracała mi uwagę. W kościele patrzyła na mnie kątem oka. Jednym słowem – zawsze byłam obserwowana”.

Tak jest. Jeśli ktoś się garbił, padała uwaga: „Nie garb się”. Albo: „Nie marszcz czoła”. I trzeba było dużego skupienia, żeby to wypracować i pamiętać, żeby nie marszczyć, bo zostają bruzdy, zmarszczki i traci się na urodzie. Albo: „Nie rób min”. Albo: „Nie ciągnij nosem”. Tak wychowując dzieci, buduje im się dyscyplinę własną. Z takim poczuciem później zderzyłam się ze swoim zawodem: zawsze wiedziałam, że jestem obserwowana. Wszyscy jesteśmy obserwowani i w przyjaźni, i gdy wsiadamy do tramwaju, mimo woli obserwujemy się.

A w jakich sytuacjach pozwalała sobie Pani na luz?

Gdy jestem sama w czterech ścianach. W tej chwili siedzę z panem na luzie. Ale nie wyobrażam sobie założyć nogi na nogę – o tak, żeby but leżał na kolanie.

Mama czym się zajmowała?

Do śmierci ojca była żoną męża, czyli – domem. Obaj bracia byli już samodzielni, siostra też, tylko ja byłam do odchowania. Matka jako młoda dziewczyna w czasie I wojny owdowiała i została z moimi braćmi i siostrą. Była przedsiębiorcza, nauczyła się szycić i w czasie drugiej wojny ratowała się tym, że umiała chwycić za igłę. Przy niej i ja poduczyłam się dziergania. Tuż po wojnie wszystkie aktorki w teatrach dziergały na szydełku. Sama sobie robiłam kozaczki ażurowe z rafii, zasuwane na zamek błyskawiczny, szewe tylko dorobił podeszwy. Na festiwalach filmowych wzbudzały zachwyt. Nakładałam je do sukienki koktajlowej i mogłam w nich spokojnie do fontanny wchodzić. Na festiwalu w Moskwie w latach 60. obwożono nas po mieście, pod hotel podjeżdżał

autobus, za mną wsiadała Monica Vitti, która na widok kozaczek krzyknęła: „Mamma mia!”. Szewc, który robił spody, mówi: „Pani Basiu, zakładamy interes. Jak taki model wypuścimy, to za pół roku wille budujemy”. Zrezygnowałam z willi. (śmiech)

Skąd pomysł na aktorstwo?

To nie pomysł, ono rosło wraz ze mną... Moja siostra Maria Zakrzewska chodziła do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie, wybuchła wojna i uczyła się w podziemnym studium aktorskim Iwo Galla. A że byłam dzieckiem niespokojnym i z wyobraźnią, więc bezpieczniej było w niebezpiecznych czasach nie zostawiać mnie w domu samej. Tak trafiłam do Galla i zaczęło się. „Wierszyk? Proszę bardzo, naucz się wierszyka i przyjdź”. U niego uczyliśmy się z siostrą najpierw w Warszawie, a potem w Krakowie, gdzie Gall przeniósł się i my z mamą też. Miałam 16 lat i wszyscy byli ode mnie starsi, a ta, która miała 29, to już była stara baba. Po wojnie razem z siostrą zaczynałyśmy pracę w Teatrze Wybrzeże, który Gall prowadził. 20 listopada 1946 roku była moja pierwsza premiera – „Homera i Orchidei” Tadeusza Gajcego. Siostra wyjechała do Wrocławia, bo z Anglii z wojny wrócił jej mąż. Prowadziła tam zespoły Teatru Żywego Słowa, potem występowała w teatrach w Kaliszu i w Białymstoku.

Powiedziała Pani kiedyś, że jest dzieckiem wojny.

Nie byłam związana z podziemiem jak rówieśnice, ale były akcje społeczne i pomagałam rannym, usuwać gruz, nosić wodę. Po ulicach poruszaliśmy się z czujnością zaszczytów psów. Były bombardowania i w czasie okupacji człowiek stale zbiegał do piwnicy, tak jak wstał – w piżamce, prawie goły, ale szczęśliwy, że żyje.

Stąd moja wielka atencja do wszelkich przedmiotów, które posiadają bezwartościową wartość. W jednoznaczności – lyżeczkach, widelczykach – jest czas, pieniądz, wysiłek ludzki. Doceniam to i żal mi wyrzucić, bo wiem, jaką cenę miało wszystko w czasach, kiedy niczego nie było, ani guzika, ani gwoździka.



Czy wojenny strach mija?

Po latach minął, ale odezwał się w momencie potężnego trzęsienia ziemi w Los Angeles, gdzie mieszkalam, w 1993 czy '94 roku. Była noc, pół do czwartej, i wtedy ożył we mnie ten wojenny strach, który okazał się niczym w porównaniu ze strachem przed naturą. Bomba była puszczana ludzką ręką, tu dziura, tam druga, waliło się, ale miałam świadomość, że wykonam ruch i może uda się przeżyć. A podczas trzęsienia ziemi czułam, że za sekundę ziemia się rozstąpi i mnie pochłonie. Że natura jest bezwzględna, osacza absolutnie. Był to strach silniejszy.

„Ta natura jest niezmierna” – napisał Jeremi Przybora. Była Pani jedną z gwiazd Kabaretu Starszych Panów, który stworzył z Jerzym Wasowskim. Niektórzy mówią, że to był zamknięty świat, odcięty od PRL-owskiej rzeczywistości, odbijający się sam w sobie.

To rzeczywiście była zamknięta, bo niepowtarzalna forma. Ale czy ten świat był odcięty? Przecież u Starszych Panów pojawiali się tani dranie, ślusarze, stolarze, lunatycy. Tylko że sztuka powinna być przetworzeniem, a nie wiernym obrazem życia. To męczące, gdy na ulicy i na scenie słyszę te same

Barbara Krafftówna
około 1930 r.

**Zdjęcie ślubne
z pierwszym mężem,
aktorem Michałem Gazdą.
„Pobraliśmy się po miesiącu.
Mieliśmy po 25, 26 lat”**

**Poniżej:
„20 listopada 1946 r.
w Teatrze Wybrzeże w Gdyni
była moja pierwsza premiera
– »Homera i Orchidei«
Tadeusza Gajcego”**



dialogi. To nie jest sztuka! Kabaret Starszych Panów z tą wysublimowaną formą rzeczywistości kontrastował z prymitywną rzeczywistością PRL. Ale tak samo zamkniętym światem można by nazwać poezję, malarstwo lub muzykę.

Pamiętam, w telewizji na placu Powstańców był bufet i dopóki nie było strażnika, każdy mógł wejść z ulicy. I żeby nie kradziono, zrobili dziurki w łyżkach i w łyżeczkach. (śmiech)

Żeby przeciekały?

Tak, dla pewności, że nikt nie ukradnie.

Jak jedliście zupę łyżką z dziurą?

Przybora natychmiast wpuścił to w tekst. A jak ten nonsens wysmiano, długo nie wytrzymał. Zresztą wtedy zaczęli kraść te łyżki jako maskotki. (śmiech) Potem dali normalną łyżeczkę, ale była przymocowana do bufetu łańcuchem. Zamawiało się kawę, była cukiernica, wyspało się, zamieszało i odstawiało łyżeczkę na talerzyk.

Z Kabaretem współpracowała Pani w latach 1959-66. Czy Starsi Panowie wymyślili dla Pani postać radnej, dlatego że w latach 1961-65 była Pani radną w Dzielnicy Radzie Narodowej Warszawa Śródmieście? Działała Pani w komisji ds. kultury, sportu i turystyki.

(śmiech) Tak, Przybora cudownie wpłatał do swoich tekstów tematy z szarego życia. O zepsutym kluczyku i o gwoździu, który przeleciał przez ścianę, bo wiadomo, że budownictwo było takie, że jak się wbiło gwoździak, to sąsiadowi na głowę spadał.

Kiedyś Kalina Jędrusik zwichnęła czy złamała rękę. Przybora natychmiast napisał pasujący do sytuacji tekst, bo żal było odwoływać nagrania. Napisał: „Co się pani stało?”. „Spadłam z wielbłąda”. „Jak to się stało?”. „No bo wujek krzyknął do mnie: »Nie garb się«, wielbłąd wziął to do siebie, wyprostował się i ja spadłam”.

A ta życiowa rola radnej Śródmieścia miała jakieś znaczenie w tamtej rzeczywistości?

Urzednicy znali mnie ze sceny czy ekranu i gdy pukałam, bo komin się zatkał, miałam ułatwione załatwienie.

Będąc radną, musiała Pani należeć do PZPR?

Nigdy. To była funkcja administracyjna, a sprawy polityczne niezależnie otaczały nas przez cały okres istnienia systemu. W Teatrze Współczesnym Axera była jedna czy dwie osoby partyjne z zespołu technicznego, a wszyscy bezpartyjni. Ale zawsze czuliśmy się obciążeni systemem, jako że był to zespół genialnych postaci, gwiazd najwspanialszego gatunku: Barbara Ludwiżanka, Halina Mikołajska, Zofia Mrozowska, Czesław Wołłejko, Tadeusz Fijewski.

Przyjaźniła się Pani ze Starszymi Panami?

Każda godzina bez nich była tęsknotą. A przyjaźń osobista to z Wasowskimi, jako że żona Wasowskiego Marysia Wasowska była moją koleżanką z Teatru Rozmaitości.

Podobno Starsi Panowie sami ze sobą się nie przyjaźnili?

Jak to nie? Przyjaźnili się. Nie wyobrażam sobie, że mogli się nie przyjaźnić, skoro byli na jednej fali twórczej. Może nie jeździli razem na wakacje, nie szli gdzieś razem po próbie. Ale przyjaźń jest przyjaźnią bez względu na to, czy się razem stale przebywa, chodzi o silny kontakt duchowy.

W 1963 roku wszedł na ekrany film Wojciecha Hasa, według opowiadania Kazimierza Brandysa „Jak być kochaną”. Zagrała Pani główną rolę aktorki Felicji, która łamie aktorski bojkot w czasie wojny, żeby ratować ukochanego. Film zdobył na festiwalu w San Francisco Golden Gate – Złote Wrota – za reżyserię, scenariusz i Pani za rolę kobiecą. Dlaczego nie odebraliście nagród?

Bo to właśnie były irracjonalne czasy: taśma sama sobie poleciała, a my, twórcy, zostaliśmy w kraju. Film zdobył trzy nagrody z czterech, a był to wówczas prestiżowy festiwal. Gdy organizatorzy zorientowali się, że twórcy są nieobecni, na moment wręczania sprowadzili kogoś z ambasady. Po długich tygodniach nagrody przyłyły do Polski. Po pół roku wyjechałam swoją z gabloty w wytwórni filmowej na Puławskiej, bo mi dali znać, że przyjechała i jest. Dyrekcja: „Pani Barbaro, urządzamy oficjalny wieczór, film będzie pokazywany w kinie Skarpa, będzie flaga narodowa, minister kultury pani wręczy”. Mówię: „Dobrze, ale ja ją wezmę teraz”, i wyszarpnęłam z gabloty, i owiniętą w gazetę wyniosłam, żeby nikt nie miał przykrości, że mi wydali przed uroczystością. A ja bałam się, że mogę jej już nigdy nie wydostać. Ale na uroczystość przyniosłam i urzędowo mi wręczyli prawie rok po festiwalu.

Jaki był odbiór filmu na festiwalach w Cannes i Bejrucie?

Nadzwyczajny, w Cannes był przygotowany do głównej nagrody, ale zdystansowała mnie wówczas historia, bo Betty Davis żegnała się z filmem i wiadomo było, że dostanie nagrodę za swój ostatni film. Grała potem nadal, lecz natrafiliśmy na taką pozaartystyczną przeszkodę. Ale mimo to dla nas była wielka gala i film zajął swoje miejsce bez nagród.

Czy nikt nie proponował Pani pracy za granicą?

Nie, myśmy byli za żelazną zamkniętą kurtyną, Zachód nie sięgał po aktorów z tej części Europy. Była współpraca, ale z NRD.

Podobno Zbigniew Cybulski nie lubił oglądać scen, które nagrał, a Pani musiała obejrzeć.

To właśnie ta samokontrola, która w teatrze jest niemożliwa, a w telewizji i w filmie mogą sprawdzić nagranie i wprowadzić korekty, bo widzę, co jest niewłaściwie. Więcej ją zobaczę niż inne oko.

Aktorka Felicja, którą Pani gra w filmie, ratuje swojego mężczyznę, którego Niemcy nakryli u niej w mieszkaniu. Ceną jest gwałt. Ta scena w kinie nie została pokazana.

Została pokazana, tylko bez detali. I dobrze, bo nie o sam gwałt chodziło, tylko o ciężar dramatu, który się za nim kryje. A to, że dzisiaj filmuje się nasze naturalistyczne, fizjologiczne sceny z życia, nie ma nic wspólnego ze sztuką. To porno przemyczone w nowoczesnej formie.

Jak Has proponował granie tej sceny?

To myśmy proponowali. Aktor nie czeka, aż mu reżyser coś każe zrobić: teraz się połóż, teraz wypij tyk. Aktor buduje, reżyser kontroluje. Miałam szczęście pracować w teatrach, gdzie aktorzy byli pełnoprawnymi artystami. Reżyser z naszych propozycji coś wybierał, kształtował, zestawiał ze sobą. Nawet detale. Spojrzenie: powieka w dół czy w górę? Jako precyzyjna aktorka uprzedzam reżysera, że gdy skończę tekst, opuszczę powieki, nie spojrzę swojemu mężczyźnie w oczy. Na to Has: „Ja jako mężczyzna



„Jak być kochaną?”, reż. Wojciech Has, Barbara Krafftówna (po prawej) i Zbigniew Cybulski, 1963 r.

czuję inaczej: mów, patrząc na dzbanuszek, ale kończąc tekst, spójrz partnerowi w oczy”. „A ja jako aktorka i kobieta czuję inaczej”. Na co Has: „Dobrze, robimy dwa ujęcia i zobaczymy, które będzie lepsze”.

Rola Felicji została okrzyknięta jedną z największych kreacji w dziejach polskiego filmu. Co Pani czuje, czytając takie rzeczy?

Trudno powiedzieć. Teraz patrzę na ten film jak każdy widz. Dawno go nie oglądałam, za chwilę będzie rok, jak widziałam go w polonijnym klubie seniora na Florydzie z grupą starej inteligencji: lekarzy, adwokatów, inżynierów. W filmie jest scena, gdy przychodzę do knajpy po swojego pijącego partnera, a stara kobieta gra na pianinie „Czerwone maki pod Monte Cassino” i wszyscy śpiewają. Starzy Polonusi całą zwrotkę odśpiewali razem z aktorami na ekranie.

Ciekawe, że na tej kopii nie było śladu po scenie gwałtu, została po amatorsku wycięta. Przerażona zadzwoniłam do firmy w Nowym Jorku, która w Polsce film kupiła, czy coś o tym wie, ale tłumaczyli, że przychodzi już tak zapakowane. Nie wiem, co to za lewizna.

Powiedziała Pani kiedyś, że Has za życia nie był doceniany, bo był zbyt bezkompromisowy.

Jak cenzura skreślała mu sceny ze scenariusza, mówił: „Albo robię to, co ja uznałem za stosowne, a nie, to nie ma rozmowy”. I nie robił tego filmu.

Żał nam było, znając jego silny charakter, że nie weźmie na warsztat następnego dzieła, że to strata dla kultury. Ale nie było siły, nie było przyjaciela, który by go przekonał, że warto pójść na kompromis.

Jakie emocje miała Pani, kiedy na początku lat 60. musiała Pani wrócić do okupacji i zagrać w „Jak być kochaną”?

Nie musiałam powracać do lat okupacji. Nawet dzisiaj jej obraz jest we mnie żywy. Miałam więc własne źródło obrazów. Siedzimy teraz w miejscu, w którym pojawiłam się w Warszawie: siostra sprowadziła mnie i matkę z Wołynia i wtedy, Bracką, z dworca nocą jechałyśmy dorożką na Górskiego. Tam było nasze mieszkanie w czasie wojny. Wszystko pamiętam.

Emocje też, strach?

Strach? Dookoła zabici, a ja żyję, to cud się stał. Mam nogi? Mam. Wstaję? Wstaję. Idę? Idę.

Wojenne przeżycia wracają w pisarstwie drugiej babki Pani wnuka – Hanny Krall. Jak to jest u Pani?

Po prostu czas wszystko wycisza.

Dużą popularność przyniosła Pani rola Honoraty w „Czterech pancernych i psie”. Dzisiaj film trafił na półki jako przykład historii zmanipulowanej, zafałszowanej, niegodny.

Trzeba przeczekać ten okres. (śmiej)



Z Henrykiem Borowskim w przedstawieniu „Remi-dżin”, Teatr Współczesny, Warszawa, 1979 r.

Ze zdziwieniem to przyjąłem, tak samo jak próby wycofania z lektur Gombrowicza. Myślę, że to sam Gombrowicz – że tak powiem – z góry działa. No i jest śmiesznie w tym świecie z nieustającym pojedykiem na miny.

Swojego pierwszego męża, aktora Michała Gazdę, poznała Pani na pochodzie pierwszomajowym?

Tak, potem razem graliśmy w spektaklu „Szczęśliwe dni” w Teatrze Rozmaitości. I tak się zaczęło, bo było w gwiazdach zapisane.

Szybko się Pani zakochuje?

Trudno powiedzieć, czy szybko, ale w nim szybko zakochałam się i szybko zdecydowałam się na ślub – po miesiącu się pobraliśmy. Mieśliśmy po 25, 26 lat.

Pamiętam, że jak po kilkunastu latach małżeństwa się całowaliśmy, to chowaliśmy się za śłup. A koledzy myśleli, że z kimś innym mam randkę. Zaczaili się i zgłupieli totalnie.

Z małżeństwa pozostał syn, który z żoną i Pani wnukiem zamieszkał w Kanadzie?

Tak, syn jest z wykształcenia archeologiem śródziemnomorskim. Ale tego zaniechał, bo przyszła kompletnie inna epoka. Jest po kanadyjskich studiach informatycznych i po studiach języka migowego dla komputerowców. Wnuk jest na czwartym roku prawa kryminologicznego. Urodził się w Polsce i po polsku dobrze mówi.

Należy do dzisiejszej młodzieży i ma dwa metry wzrostu, gigant, nawet klęcząc, przewyższa mnie o czoło. Dopiero jak wejść na krzesło, wtedy jestem ponad wnukiem. Nigdy nie byłam duża, raczej drobna i mała, ale miałam tak zwany wzrost sceniczny. Widz znał mnie ze sceny, nagle zderzył się ze mną prywatnie i był zaskoczony, że jestem dużo mniejsza. To tajemnica sceny. Kiedy rozwinęła się telewizja, nie mówiąc o filmie, a mówimy o okresie czarno-białym, to zawsze był krzyk: „To pani nie jest czarna, tylko ruda?! Jest pani jakby nie ta”. Bo obraz telewizyjny zakodował, że jestem wysoka i ciemna. A tu się okazuje, że jestem mała, ruda i piegowała.

I co z tym można zrobić?

Grałam i po dzień dzisiejszy gram w perukach, nawet gdy nie było konieczności, też grałam w peruce. Nie widzę siebie w roli, kiedy jestem jak teraz, prywatnie. Fryzurę sama sobie robię, to mój własny fason, ciągle ten sam: włosy ściągnięte w ogonek, grzyweczka. Kończyłam kursy charakterystyki filmowej i teatralnej i nauczyłam się sztuki strzyżenia.

Pamięta Pani swój pierwszy wyjazd na Zachód?

To był rok 1959, z zespołem Teatru Dramatycznego pojechałam do Paryża na Festiwal Teatru Narodów. Wystąpiliśmy z „Paradami” Jana Potockiego, grałam Zarzabellę. To była nie zwykła podróż, zwłaszcza że byłam na świeżo w żałobie po śmierci matki.

Ale nasz zawód jest pod tytułem „Śmieć się, pajacu”. Nie zawsze ma się możliwości zrobić pauzę na okoliczność osobistych wstrząsów.

Matka zmarła w Wielką Sobotę i tego dnia był muzyczny program telewizyjny przygotowywany przez wiele tygodni. Śpiewaliśmy w duetach i nie było zastępstwa. Program był na żywo. Trzeba było nie tylko śpiewać, trzeba było grać, tańczyć. Śmieć się, pajacu, na chwilę po śmierci matki...

Potem była śmierć męża, ale wtedy już nie dałam rady pojawić się wieczorem na spektaklu w kabarecie

Do dziś gram w perukach, nawet gdy nie było konieczności, też grałam w peruce. Nie widzę siebie w roli, gdy jestem prywatnie

Pod Egidą. Nadzwyczajnie zachowali się koledzy, Janek Pietrzak odwołał spektakl. Historia się powtarza, bo w poniedziałek 20 listopada, z okazji 60-lecia mojej pracy, odbyło się moje przedstawienie jubileuszowe w Teatrze Narodowym w Warszawie, a w piątek znielacka zmarła moja bliska siostra cioteczna. Miała zarezerwowany bilet na spektakl. I znowu – śmieć się, pajacu. Ale scena i codzienność to są dwa życia, różne życia.

Ale wracając do Paryża...

No właśnie.

Po przedstawieniu gnaliśmy obejrzeć miasto. Koledzy zabrali mnie na nocny wypad i mijaliśmy nas piękna dziewczyna we wspaniałym futrze, roztaczając zapach perfum. Gdy mijaliśmy ją, patrzyłam akurat na jakąś wystawę, ale za chwilę słyszę chóralny szept: „O rany boskie, ale...”. Mówię: „Co się dzieje?” „A coś ty, nie widziała?” „No co, mineliśmy dziewczuchę”. A to była prostytutka, która pod futrem była nago i mijając chłopaków, otworzyła futerko, a ich zatkało. A ja

tylko słuchałam ich komentarzy i strasznie żalowałam, że nie zobaczyłam wnętrza futerka. (śmiech)

Do Ameryki wyjechała Pani w stanie wojennym. To była ulga?

Gdy wyjeżdżałam, stan był już odwołany, godzina policyjna zlikwidowana, został tylko wojenny nastrój. Nic mi nie ulżyło, bo jechałam na wielki eksperyment: miałam grać „Matkę” Witkacego w języku angielskim, którego nie znałam. Sądziłam, że ta propozycja to żart albo pomyłka. Do głowy by mi nie przyszło, że ktoś może złożyć propozycję aktorze nieznającej języka.

To skąd ten pomysł?

Z opinii, że jestem specjalistką od Witkacego. Zaprosił mnie Leonidas Dudarew-Ossetyński, Polonus, przedwojenny aktor, idealnie nadający się do nieograniczonych możliwości amerykańskich. Tam jak ktoś chce iść po ulicy na rękach, a nie nogach, nikogo to nie dziwi, zupełna wolność. Ossetyński był typem o wielkiej fantazji, nawiedzony artysta z marzeniami. Olbrzymi mężczyzna o błękitnych oczach z białą brodą do pasa, z pięknie wyczesanymi włosami. Wy najmował salkę i prowadził studio aktorskie. Wystawienie „Matki” Witkacego było jednym z jego marzeń, żeby ze swoimi młodymi aktorami zrobić prawdziwy teatr. Znalazł uczennicę po nowojorskim studiu aktorskim i jej bogaty ojciec sponsorował przedstawienia. Aktorzy amerykańscy grający w „Matce” byli tak oddani temu, co robili, że mogli to porównać do powojennego okresu u Galla w Teatrze Wybrzeże. Wtedy dla nas, młodych, wejście na scenę było na bożeństwo.

Zdecydowała się Pani mimo nieznajomości angielskiego?

To była benedyktyńska robota, przez rok uczyłam się roli fonetycznej. Tak jak śpiewacy przygotowują partię operową. Nauczyć się tekstu to jedno, ale najważniejsze to zbudować rolę w innych konstrukcjach psychofizycznych, a przede wszystkim przekazać obraz witkacowskich artystycznych deformacji. Bo deformacji, jakie tam

W okresie zwiększonej zachorowalności na grype i przeziębienie

Rutinacea



nie musisz żyć pod kloszem ani być pod kreską

PROMOCJA

Suplement diety

90+30 tabletek

Rutinacea Complete

rutinoidy
witamina C
cynk

zwiększonej zachorowalności
na grype i przeziębienie

5⁹⁰ zł
sugerowana cena detaliczna

+30 tabletek GRATIS

dla dzieci

Rutinacea 120 tab. w tym 30 GRATIS

suplementy diety

www.rutinacea.pl

REKLAMA

Pomysł
na prezent

zastałam na ulicach, Witkacy nie przewidział. Ale deformacje uliczne nie mają nic wspólnego ze sztuką, tylko z psychicznym odchyleniem u ludzi.

Co ma Pani na myśli?

Mówię o kogutach na głowach, wystrzyżonych punkach, o tatuażach na łysych głowach, na twarzach, piersiach, wszędzie, po prostu szaleństwo, obłęd, choroba.

Czy spotkało Panią z ich strony coś złego?

Nie, nie, oni w kontakcie byli mili. Raz spytałam wygoloną dziewczynę z tatuażem na głowie w formie pajęczyny zamiast włosów i na połowie twarzy, czy może sobie zrobić z nią zdjęcie, i była bardzo miła. I zrobiłam sobie ot tak, dla potomności. Ale gdy o tym wspominam, ciągle mi się wydaje, że to niemożliwe, że może to była charakterystyka, do wytarcia, a nie, że ktoś robi sobie krzywdę, wpuszczając farbę pod skórę.

W Ameryce ze swojego dorobku uzbierałam piosenki i stworzyłam program na miarę możliwości produkcyjnej. Tam wszystko jest przypadkowe: pianista, instrument, jak u cioci na imieninach. Nie ma zaplecza i pieniędzy, to są składki, wynajęta sala czy klub polonijny, który szuka sali tańszej.

Również przy parafiach?

Tak, tak, przede wszystkim, to najprostsza forma. Owszem, urodziła się forma koncertów w wielkich rezydencjach, w których salon ma 200, 300 metrów, sprasza się ludzi, zawiązują się kluby stałych bywalców. Są salony literackie, na przykład w San Diego. Koledzy z Polski coraz częściej występują w salonach.

Podczas swojego recitalu w Międzynarodowym Instytucie w San Francisco poznałam drugiego męża. Siedział w pierwszym rzędzie.

Zaiskrzyło?

Prawie, bo zaplatałam się w kable. Był to salon i poprosiłam,

żeby zrobili podwyższenie, by widzowie mogli mnie widzieć. Nie mieli z czego zrobić. Zobaczyłam solidne regały książkowe z tzw. plecami ze sztywnej deski. Zaproponowałam, żeby zdjęli książki, odwrócili, położyli dywan i tak na podwyższeniu zrobiła się estradka. Ale kable były na wierzchu, bo to prowizorka, salon miał około 30 metrów, więc niewielki. Zaplatałam się w kable, potknęłam i żeby nie upaść, oparłam się o czyjeś kolano. To było jego kolano. Podtrzymał mnie i okazało się, że to ten przeznaczony.

Znów znak?

Tak, tak, sprawy potoczyły się gwałtownie i bez analiz. I decyzja ślubu, dłuższa niż z pierwszym mężem, ale bardzo szybka. Świetnie znaleźliśmy kontakt, mimo że mój angielski był pożałujebny, a on nie znał polskiego. Dopiero po ślubie zaczęłam się serio uczyć angielskiego.

Kim był Pani mąż?

Arnold, Arnold Seidner, był dyrektorem w międzynarodowym instytucie, którego polska sekcja zorganizowała mój recital. Instytut powstał, żeby pomagać imigrantom w sprawach administracyjnych, poprzez kursy języka, komputerowe.

Mąż akompaniował mi na fortepianie i śpiewał, mieliśmy plany wspólnych występów, zapal. Ale pewnego dnia po koncercie w Chicago, zostałam napadnięta i obrabowana ze wszystkiego, co zarobiłam, z biżuterii, dokumentów. Przyjechałam do Polski wyrobić nowy paszport, mąż miał do mnie dojechać. Ale nie dojechał, miał zawał.

Nasze małżeństwo trwało niecałe pół roku.

Nie bała się Pani, gdy po śmierci męża zrezygnowała z pracy i została bez środków do życia?

Pracę zawodową przerwałam z powodu moich niemocy krótszych czy dłuższych. Próbowalam przezwyciężyć rozbiecie i samotność. Praca dawała częściowe ukojenie. Ale życie jest życiem i człowiek wraca do siebie i do codzienności po wszystkich ciosach. Uczylam się języka,

całe dnie spędzałam w szkole. Miałam sporadyczne koncerty, spotkania.

Jak udawało się przeżyć bez zatrudnienia i ubezpieczenia?

Zajęli się mną przyjaciele męża. Po sześciu latach od jego śmierci przeniosłam się z San Francisco do Los Angeles, mieszkalam w jakimś pokoiku. Okazało się, że sporo Polaków wprowadziło się do nowiutkiego domu seniora. Zadzwonili, żebym się zgłosiła. Trzeba było mieć 60 lat i brak zarobków. A ja miałam wzię, która zezwalała na pracę tymczasową i złożyłam papiery o zezwolenie na pracę stałą. Gdy je dostałam, zaczęłam współpracę z teatrem polonijnym im. Heleny Modrzejewskiej w Los Angeles. Pieniądze były śmiechu warte i dlatego nadzwyczajną ulgą był dom seniora.

W Stanach niektóre domy seniora są jak domy z bajki - z apartamentami wielkimi, mniejszymi, z basenami. U nas też był basen, tylko nigdy wody nie napuścili. (śmiech)

W Hollywood jako dzielnicy znam każdy zakamarek, uliczki, tablice gwiazd. Punktem widocznym z moich okien w domu seniora był słynny napis „Hollywood” na pagórku.

W domu seniora mieszkalam 14 lat.

Dom seniora to w Pani przypadku brzmi jak upadek.

A jaki w pana oczach przedstawiam przypadek, że dom seniora brzmi dla pana jak upadek? Powtarzam: ten dom to była nowiutka, śliczna kamienica. Teraz, gdy wracam do Ameryki na kilka miesięcy, zawsze wynajmuję sobie jakiś pokój.

Po wielu latach dostałam obywatelstwo amerykańskie, musiałam przejść egzaminy. Do obywatelstwa przygotowywałam się w szkole na kursach, na których spotkałam Jadzię Barańską, która z mężem Jerzym Antczakiem od lat mieszka w Los Angeles. Weszłam do klasy, patrzę: jakaś blondynka do mnie macha, żeby z nią siadać w ławce. Myślę sobie: „Boże, która to z koleżanek, z której klasy”.

W porównaniu z rokiem 1983, gdy uczylam się tekstu do „Matki” Witkacego, w 1988 roku, gdy rozpocząłam

Regeneracja
Skóry, włosów i paznokci

**MERZ SPEZIAL
Dragees**

Starannie dobrana kompozycja
witamin i minerałów na:

świeżą, promienną skórę

gęste, zdrowe włosy

piękne, mocne paznokcie



Produkt złożony dostępny
w aptekach. 60 drażetek na
miesięczną kurację. Cena ok. 40 zł.

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która
zawiera wskazania, przeciwwskazania,
dane dotyczące działań niepożądanych
i dawkowanie oraz informacje dotyczące
stosowania produktu leczniczego, bądź
skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

Podmiot odpowiedzialny:
Merz Pharmaceuticals GmbH, Niemcy

REKLAMA

współpracę z teatrem na Uniwersytecie Kalifornijskim, czułam się pewniej, bardzo poprawiłam się w angielskim. U prof. Michaela Hacketta zagrałam m.in. w „Biesiadzie u hrabiny Kotlubaj” Gombrowicza.

Co z tych treści może dotrzeć do amerykańskiego widza? „Biesiada” to jakby dawać krakowski wykręcony precelek z makiem komuś, kto raczej oczekuje hamburgera?

Ale to nie jest produkcja dla masowej publiczności ze stadionów sportowych. To potrawa dla wykształconej młodzieży uniwersyteckiej, która interesuje się sztuką i chodzi do teatru. Kiedy do Stanów przyjeżdżał Lutosławski, jakież to dla publiczności były uczty duchowe.

Hrabina mówi, że post nie jest dietą, lecz ucztą dla ducha. Czyli cierpieć i uważać to za przyjemność. Jakiś Amerykanin to zrozumie?

Nie jakiś, bo to spektakl dla publiczności z otwartą głową. Tyle teatrów tam działa, niektóre niezwykle. Szekspir w wykonaniu podwójnej obsady: są dwie Ofelie, jedna gra normalnie, czyli używa głosu, ruchu, a druga za nią jak cień przemieszcza się i gra językiem migowym. Tego

Zapłatałam się
w kable, potknęłam
i żeby nie upaść,
oparłam się
o czyjeś kolano.
To było jego kolano

typu propozycji jest tak dużo, że nie starczyłoby życia, żeby je obejrzeć.

Czego Panią ten okres amerykański i Ameryka nauczyły?

Doceniania radości istnienia.

Bo tam, nawet jak się zada pytanie: „Jak się czujesz?”, zawsze pada odpowiedź: „Ach, wspaniale, OK”. A za chwilę padła zemdlona z bólu, z wyczerpania. Ja jestem pogodnego usposobienia i raczej optymistka.

Ale do tego bezwzględnie „OK”, proszę pana, człowiek nie może się przyzwyczaić, bo od razu by się chciało wylać swoje samopoczucie i co ma się na sercu. Ale w reżimie psychicznym, jaki tam istnieje, niemożliwe jest, żeby ktoś przyznał się do słabości. Słabi są tam niepotrzebni.

To co się z nimi dzieje?

Rozpadają się, znikają. Kończą na ulicy. Jest wolność - tylko aby nie zakłócił porządku i na ulicy pod siebie nie robił.

Skoro w Ameryce miała Pani tak trudne okresy, to nie chciała Pani wrócić do Warszawy do swojego mieszkania, grać w teatrze czy brać polską emeryturę?

Takie pytania własny syn mi zadawał: „Dlaczego nie wracasz?”.

I rodzina, i przyjaciele mówili: „Nie rozumiemy cię, jak to jest, że siedzisz, co ty tam masz?”. Może gdyby nie zaistniał tam mój osobisty rozdział życia - małżeństwo - wróciłabym. Ale tam stało się coś szczególnego - zbudowało się na moment własne, nowe życie.

Fizycznie człowiek odszedł, ale nie odszedł...

...duchowo, tak jest.

Została Pani dla niego?

Zdecydowanie. Wspólne życie nieskrystalizowane, a jednak w dalszym ciągu istniejące, bo tam przecież jest grób mego drugiego męża.

A synowi co Pani odpowiedziała?

Nic, moja codzienność jest odpowiedzią.

Czy nadal codziennie po pracy lubi Pani dopieszczać różne drobiażdżki, np. czyścić szpileczką zakamarki kryształów?

Mam w sobie potrzebę precyzji i takie sytuacje bezwiednie mi się rodzą. Równie precyzyjną robotą jest oczyszczenie rzesz z kleju po charakteryzacji teatralnej. To misterna robotą, żeby nie uszkodzić i czyścić włosku po włosku.

rozmawiał Dariusz Zaborek